XXIII. Kraków, 15 listopada 1920 r. Nr. 22.

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 45 M. 60 f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

w Krakowie [illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień“, Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 8 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 8 Marek.



— Zdrów dziadu!... Po kolacyi możesz mnie pocałować.
Dziękuję ale kwituję! Los króla greckiego jest dla mnie straszną przestrogą!



Z Cukierni Bolcia Górskiego.

Znacie go wszyscy:
Długi włos,
Wybladłe lica,
Na dół nos.
Futurysta — buty zdarte,
Lecz mina à la Bonaparte,
Zadumana w twarzy,
Ręce w krzyż,
Źrenica promotem błyska,
Że tylko w lot,
Życiorys pisz.
I pytaj wieszcza: gdzie kołyska?
Sam nie napisał
Nigdy nic,
Twórczością jego
Dramat ma w duszy,
W piersi zgrzyt,
W krąg zionie deszczem,
Pluje w byt.
Wierzy, iż sława go nie minie,
Gdyż chadza zawsze w pelerynie.
Bredzi od rzeczy
Co się zwie:
Nastrój, mistycyzm,
Symbol, blaga,
Filistrów meta — podłej ćmie
Pogardę bryzga,
Zwłaszcza, gdy jaka „dusza naga"
Pożyczyć mu się „markę" wzdraga.

Stylem dziennikarskim.

(Z kroniki).

Przykład godny naśladowania. Katarzyna Gwóźdź powiła wczoraj czworaczki, samych chłopców. Patryotyczna obywatelka, chcąca bodaj w ten sposób spieszyć krajowi z pomocą w potrzebie, ma się dobrze.

Z raportu policyjnego.

...Idąc plantacyami, usłyszałem w krzakach podejrzany szmer, podobny do nieślubnego związku małżeńskiego...

Psi figiel.

Pan Stefan usłał sobie już gniazdko rodzinne, do którego miał za kilka dni sprowadzić swą małżonkę. Na zakończenie kawalerskiego żywota urządził pożegnalną stypę, na którą sprosił swych serdecznych przyjaciół. A był między nimi i pan Kazimierz, któremu sprzątnął takową z pod samego nosa.

Zabawa bywa huczna, trwała do samego rana. Goście jedli i pili i nie mieli słów na wyrażenie uznania dla troskliwości, z jaką nowożeniec usłał gniazdko dla swego ptaszka... Niczego tu nie brakło, co mogłoby się przydać młodemu małżeństwu...

I weselisko było huczne, goście odprowadzili młodą parę aż do drzwi mieszkania.

Ale od tej chwili zmieniło się wszystko, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Pan Stefan zaczął widocznie unikać swych dawnych towarzyszy, a wszyscy byli zdania, że czyni to z polecenia żony, obawiającej się, aby go przypadkiem na złe drogi nie sprowadzili.

Ostatecznie przecież wylazło szydło z worka. Jeden z przyjaciół wziął pana Stefana na spytki, aby się dowiedzieć, co też może być przyczyną tej widocznej ku nim niechęci.

I dowiedział się!

— Ja was — skarżył się pan Stefan — tak wtedy wieczór gościnnie przyjąłem, a któryś spłatał mi takiego psiego figla! Domyślam się, że to pan Kazimierz, ale nie jestem pewny!

— Cóż takiego?... — badał przyjaciel.

— Wyobraź sobie, w szafce nocnej koło łóżka stał słoiczek z wazeliną. Przyniosła go poczciwa teściowa, aby był na wszelki wypadek... I co ty powiesz na to, któraś kanalia nasypała wtedy piasku do wazeliny... Nikt inny, tylko Kazimierz!... Miałem ja się potem za to spyszna od mojej żony!... A sam powiedz, czy ja w tym wypadku zawiniłem!

Z poufnych dyskursów.

(Rozmowa dwu mam).

— I cóż tam córeczka pani Tomaszowej?... Dawno jej nie widziałam...

— Na posadzie, moja pani!

— A dobra choć posada?

— Nie najgorsza, ale ciężka!... Jest, widzi pani, guwernantką w jednym hrabskim domu do dwu chłopców...

— A w jakimż oni wieku?

— Jeden dziewiętnaście, drugi dwadzieścia jeden lat!... Pisze mi biedaczka, że dzień i noc jest w robocie!... A i stary hrabia często tam zagląda, bo się bardzo interesuje postępami chłopców... Ale pani hrabina zobowiązała się, że, w razie, broń Boże, jakiegoś nieszczęścia, zapewni jej przyszłość... Zamknę też spokojnie oczy, widząc, że jej nie będzie źle na świecie!



Ważny powód do rozwodu.

— Co słyszę?... Pan się rozwodzi ze swoją żoną, panie Pomeranz?... A twierdził pan, że żadna panu tak dogodzić nie potrafiła, jak ona!

— Tak!... Nie przeczę!... Ale ona lubi być czasem złośliwa, a ja tego nie lubię... Wyobraź pan sobie, co się stało. Ja przychodzę kiedyś popołudniu do domu i zastaję w salonie na stole oficerską czapkę. Oglądam ją i poznaję, że to czapka oficera francuskiego... Ale ja nic nie mówiłem, bo i do kogo?... do czapki miałem mówić?... Idę do drugiego pokoju, niema nikogo!... Pomyślałem sobie, że, gdybym go tam zastał, pan wie kogo... tego właściciela od tej czapki, to zabiłbym go na miejscu!... Ale na szczęście, tam go nie było!... Idę zatem do sypialnego pokoju, a tam, na kanapie, moja żona i francuski oficer... Ja jestem spokojny człowiek i wiem, że każdy obywatel jest zobowiązany do świadczeń na rzecz wojskowości, chciałem się też cofnąć, aby im nie przeszkadzać... Francuzi, to przecież nasi sprzymierzeńcy... Ale żona woła mnie: „Moryciuńciu!... Chodź tutaj!... Ty się nie potrzebujesz bać. Nic się tobie nie stanie złego, a można się czego nauczyć!... Tak kochać, to umieją tylko Francuzi!..." I co pan powie do tego?... Czy taka złośliwość i to wobec obcego zupełnie człowieka, nie jest powodem do rozwodu?...

— Ależ to był przecież Francuz!... On tego z pewnością nawet nie rozumiał, co żona mówi!

— Może być!... Ale ja takie rzeczy bardzo nie lubię!...

Po powrocie z Krynicy.

— To zapewne musiał być brat pańskiej żony, z którym widziałem ją tego roku codziennie w Krynicy. Zauważyłem nawet pewne podobieństwo rysów!

— Ona brata nie ma!... Ale, jak pan powiada, że do niej podobny, to może i brat... Jeśli pan ciekawy, kto to, niech pan ją sam o to zapyta!... Choć, kto wie, czy się pan dowie... To taka roztrzepana kobieta, że zwykle zapomni się dokładniej poinformować, z kim miała do czynienia!...

Powrót Ulixesa do Itaki.

(STARY OBRAZEK, PRZEMALOWANY NA NOWO).

Pan Karol, znany ze swej przemyślności i forteli, których nie powstydziłby się Ulixes lub choćby ś. p. Zagłoba, miał wierną Penelopę w osobie pani Ziuty, oraz starego psa, który witał kiwaniem ogonem swego pana, wracającego do domu z bliższej lub dalszej podróży. Brakowało im jedynie Telemaka (nie wiadomo, kto winien, obydwoje dokładali bowiem wszelkich starań...), a wszystko byłoby, jak ongi, przed wiekami, na Itace.

Tu także drobna zachodziła różnica, że nasz Ulixes na wojnę trojańską nie pojechał, gdyż c. i k. komisya asenterunkowa uznała go za *nicht geeignet*, gwoli czego Penelope Zofia (zdrobniale „Ziuta") nie była stworzoną na czekanie latami na powrót małżonka. Co do gachów, to tych jej nie brakło, nie była bowiem tak skrupulatną jak tamta i bynajmniej nie gniewała się o to, gdy się koło niej kręcił cały rój wielbicieli. Zresztą homeryccy gachowie to byli, jak to się dziś mowi, ani do tańca, ani do różańca, skoro, jak tradycya twierdzi, żaden z nich nie mógł trafić do dziurki, a ten warunek postawiła pani Penelopa na pierwszem miejscu. Temu zresztą i niema się czego dziwić. Było to po ogólnej mobilizacyi w Grecyi z powodu wyprawy trojańskiej. Kwiat młodzieży wyginął na polu chwały, w kraju pozostali same niedołęgi, a z wojny wrócili kaleki z protezami. Ulixes na wojnie był, ale się zbyt nie narażał, i dlatego wrócił szczęśliwie, a że był człowiekiem starej daty, do dziurki trafiał, a niefortunnych kandydatów do swego chodzącego „skarbu" sromotnie napędził.

Krakowski Ulixes, jak wyżej wspomniano, na wojnę nie pojechał, wracać też z niej nie potrzebował, a i gachów nie napędzał, nie chcąc być tym brysiem, co to sam siana nie jadł, a komowi ruszyć go nie pozwolił. Wyrażenie i porównanie może nazbyt trafne, pan Karol owo siano jadł i to z wielkim apetytem, był jednak altruistą, a wiedział, że go wystarczy nie tylko dla niego, ale i dla innych. Był zresztą przekonany, że pani Ziuta jest mu wierną, a choć tam od czasu poflirtuje z mężczyznami, to tylko dla rozmaitości i zabicia czasu. Sam o sobie powiadał, że „przy jednej dziurze mógłby kot zdechnąć z głodu..."

Przyjaciele pana Karola zwracali mu nieraz dyskretnie uwagę na zbyt wielką liczbę i częstą zmianę przyjaciół domu, on jednak machał na to ręką z lekceważeniem i mówił:

— Panie!... To Penelopa!... Ja jej wierzę!... Ona mnie nie zdradzi!... A że flirtuje, to i cóż z tego?... I starożytna Penelopa pozwoliła przyjaciołom próbować strzelić, a żaden tego nie potrafił!... O moją żonę jestem spokojny!...

I w samej rzeczy był spokojny i nie widział rogów, które mu zaczęły rosnąć na głowie i przybrały potężne kształty, gdy natomiast inni je widzieli i w duchu z nim współczuli.

Pani Ziuta, prawdopodobnie ze względu na niespokojne czasy, otaczała się najchętniej wojskowymi, trudno zatem byłoby nawet panu Karolowi wobec nich wrogo występować i ściągnąć na się zarzut zbrodniczej działalności na na niekorzyść armii, co może drogą z Montelupich zaprowadzić nawet tam, skąd się nie wraca.

A tego pan Karol nie pragnął, kłopoty te domowe wciągając, bardzo zresztą rozsądnie, pod rubrykę „świadczeń na rzecz wojska".

I, dzięki tej jego wyrozumiałości było wszystkim i dobrze i wygodnie: i jemu i jej, a zwłaszcza im.

Do czasu jednak dzban wodę nosi. Panu Karolowi urwało się wreszcie ucho, gdy otrzymał bezimienny liścik, w którym go jakiś „przyjaciel" zawiadamiał, że ma niebezpiecznego rywala w osobie jakiegoś porucznika, który, ilekroć wyjeżdża z domu (a zdarzało się to często...), bardzo gorliwie go zastępuje.



Z zazdrości.

— A gdzie pan podział swego jamnika, panie leśniczy?

— Sprzedałem go!... Mój pryncypał, radca Kohn, nie mógł znieść jego widoku.

— To dziwne!... A taki to był mądry piesek!...

— Właśnie o to chodziło!... Radcę to irytowało, że ma bardziej krzywe nogi niż on!...

● ●

Z mitologii.

...Gdy Odysseusz przejeżdżał koło wyspy, na której mieszkały Syreny, śpiewem swym nęcące żeglarzy i gotujące im zagładę, dla bezpieczeństwa towarzyszy podróży przywiązał do masztów, sobie zaś zalepił woskiem wszystkie otwory cielesne...

Z biblii.

— To jednak ciekawe, że żonaci nie mają swego patrona... Czyżby żaden z nich nie został świętym, choć tyle za życia wycierpieli?

— Mają patrona!... Jest nim Mojżesz, którego malują zawsze z rogami na głowie!...

● ●

Stylem naszych „wielkich“ pisarzy.

...Admirał śledził uważnie ćwiczenia eskadry, zajęty wyłącznie majtkami Jej Królewskiej Mości...

* * *

...Hrabia lewą ręką otwarł drzwi salonu, a prawą odezwał się do gościa...

* * *

Kruczek powitał od tylu lat niewidzianego pana i powitał go radosnem szczekaniem z przodu i z tyłu...

Łatwy sposób zdobycia pieniędzy.

— Ja tam, ile razy potrzeba mi pieniędzy, radzę sobie, jak mogę — mówił pan radca — Moja stara ma mopsa, którego ogromnie kocha. Gdy mi bieda dokuczy, chowam go, a ona, strapiona stratą, ogłasza dwieście marek znaleźnego. Odsyłam go wtedy przez ekspresa, który dostaje za to dwadzieścia marek, a ja mam sto osiemdziesiąt... Radzę panom robić tak samo!...

Aby dalej!

Oj! skaranie oczywiście!
Tobie szronem oczy świecą,
Mnie mróz pali tak siarczyście,
Że — pójdź bracie łyknąć nieco!

Szynkareczko! dostań flaszę,
Anyżówki pełne nalej,
Co użyjem — ot to nasze!
Aby dalej! aby dalej!

Siądźmy sobie przy tem stole,
Człowiek głupszy, kiedy stoi;
Gdy nas w sercu co zakole,
Gorzałczyna ranę goi!

Szynkareczki buziak miły,
Do miłości nas zapali,
Pijmy, pieśćmy z całej siły,
Aby dalej, aby dalej..

Na bok troski, do was kumie,
Patrzcie, pełna moja szklanka,
Jakoś lepiej się rozumie
Przy niej bratnia pogadanka.

Wasze zdrowie! Ja też piję,
Nie będziemy się sprzeczali,
Niechaj każdy hula, żyje,
Aby dalej!... aby dalej!

Hej! Małgosiu! daj buziaka,
Co się wstydzisz? raz spróbuję!
Kiedy strułem już robaka,
Teraz ciebie pocałuję!

Porzuć dziwny wstyd niewieści
Przesadzony nie ocali —
Kto z nas żyje: ściska, pieści,
Aby dalej! aby dalej!

Postaw jeszcze choć półkwarty,
Na przegryzkę sera, chleba —
Ja nie lubię pić na żarty —
Gdy jest mało — więcej trzeba.

Dosyć, dosyć już dla obu,
Abyśmy się nie pospali,
Na to będzie czas u grobu,
Gdzie dążymy — aby dalej!





I to da się zrobić.

Choć to już listopad, a ptaki przelotne dawno opuściły nasze okolice, do domu państwa Julianów zawitał tak pożądany bocian.

Ze względu na to, że pani Julianowa była bardzo wątła, postarał się małżonek o mamkę, o co dziś, w czasach wojennych, bardzo łatwo. Równocześnie przyjęto też nową kucharkę, gdyż poprzednia, doczekawszy się wreszcie powrotu narzeczego z wojska, wyszła za mąż.

Mamka była należycie rozwinięta we wszystkich kierunkach, co rokowało, że noworodek nie będzie miał powodu do narzekania na brak pożywienia, kucharka przedstawiała się bardzo filigranowo.

Gdy obydwie przedstawiły się swej chlebodawczyni, po ich wyjściu zauważyła pani Julianowa, zwracając się do męża z prośbą w oczach:

— Aż się boję powierzyć naszego małego tej mamce, by mu co złego nie wyrządziła... Wolałabym, aby ta druga była mamką... Tak sympatycznie wygląda... Mój drogi, nie mógłbyś tak zrobić, aby ona karmiła chłopca, a nie tamta?

— I to się da — odparł pan Julian — ale na to trzeba czasu!... Już ja się o to postaram, skoro chcesz, aby ona została mamką, ale dopiero do następnego naszego potomka!

Miła rodzina.

— Ach, moja mamo — mówiła panna Frania do swej rodzicielki. — Jakże ja się przyznam Stefanowi, że ja miałam już dziecko?

— A któż ci się każe przyznawać?

— Moje poczucie!...

— Głupia gęś z ciebie!... Zakochany mężczyzna nic pozna!... Trzeba go tylko odpowiednio usposobić!... Czy myślisz, że twój ojciec poznał, że ja miałam przed ślubem dwoje dzieci?...

Rozmowę tę słyszał przypadkowo pan radca, który był w drugim pokoju, i nic w tem chyba dziwnego, że go z radości ...szlag trafił.

Mądry Maciuś.

— A co robili młodzieńcy, gdy ich król Nabuchodonozor kazał wrzucić do rozpalonego pieca? — pytał ksiądz katecheta.

— Oni się tam pocili! — odpowiedział mądry Maciuś.

W pierwszej chwili chciał zrobić żonie awanturę, jako spokojny i człowiek i zrównoważony postanowił rzecz najpierw zbadać, pewny, że w tem nic niema, pewny, że to tylko złośliwość ludzkich języków i pióra owego „przyjaciela“.

W tym celu zapowiedział swój wyjazd na całe dwa tygodnie, co żona przyjęła z radością do wiadomości, już choćby tylko z tego powodu, że służąca odchodziła, nowo zgodzona jeszcze się nie zgłosiła, zmuszoną była zatem przez dni kilka zostać bez pomocy.

Ulixes zatem wyjechał z Itaki, zostawiając wierną Penelopę i starego psa, obiecując powrót najmniej za dwa tygodnie, a może nawet i później, zależnie od tego, jak się złożą interesy...

Minął właśnie tydzień od wyjazdu, gdy nasz Ulixes znalazł się wprawdzie jeszcze nie pod domem rodzinnym, ale pod samą bramą, która z powodu spóźnionej pory była już zamknięta.

Klucz nosił stale ze sobą, dostał się zatem do wnętrza, a następnie, aby najpierw zbadać teren, skierował się tylnemi schodami ku kuchni.

Zapukał, pies zaszczekał, otworzyła jakaś fertyczna brunetka (a brunetki bajecznie lubił...) niezawodnie nowa służąca. Zapytał o panią.

— Państwo już od godziny położyli się spać!... — odpowiedziała zagadnięta.

— Co za państwo?... — badał, cokolwiek (ale nie bardzo!...) poruszony.

— No!... Moja pani z moim panem!

— Cywilny, wojskowy?...

— Wojskowy!...

Otwarły mu się oczy, choć ich nie zamykał, przyznał, że „przyjaciel“ miał racyę... Jak ongi Ulixes, postanowił zatem zdradzić przed ową niewiastą, kim jest. Znaków szczególnych pokazywać nie potrzebował, gdy go przedtem nie znała.

To poszło mu bardzo łatwo, na jego korzyść przemawiało zresztą zachowanie się starego psa, wobec innych bardzo nieufnego, który pana Karola witał jak zwykle, radosnem kiwaniem ogona...

— Ja sobie zaraz pomyślałam — mówiła służąca — że coś w tem jest. Kruczek tamtego pana wojskowego ogromnie nie lubi i ciągle nań warczy, wczoraj chciał go nawet ugryźć... Ale tu pana trzymam na ganku... Trzeba panią obudzić!...

— Nie potrzeba, mój kotku!... Niech sobie śpi!... Mogłaby się jeszcze niepotrzebnie przestraszyć i byłby kłopot. A jak tobie na imię?...

— Kasia!... proszę łaski pana.

— Otóż, moja Kasiu, — mówił pan Karol, głaszcząc ją pod brodę — mnie pościelisz w tym małym pokoiku za kuchnią... Ale proszę cię, drzwi od kuchni nie zamykaj, gdyż potrzebuję dużo powietrza...

— Dobrze, proszę pana!...

— A nie będzie cię razić, mój aniołku, bo ja w nocy chrapię głośno...

— Nie!... Ja jestem zwyczajna do chrapania mężczyznów!... Zresztą mnie się zdaje, że pan dziś nie będzie chrapał...

W kwadrans potem w całym domu panowała już cisza zupełna. Pan Karol w samej rzeczy nie chrapał tej nocy wcale, od czasu do czasu dochodziły natomiast z małego pokoiku szmery, wśród których można było odróżnić słowa: „Ależ pfe!...“ i to wypowiedziane przez jedne i te same usta. Dowód, że mieszkańcy czuwali...

W ten sposób odbył się powrót nowoczesnego Ulixesa do Itaki, gdzie go jednak bynajmniej nie oczekiwała wierna Penelopa, gdyż powrót zapowiedział najwcześniej za dwa tygodnie, a od wyjazdu minął dopiero tydzień.





— Panie doktorze! Czy przepisze pan jaką kuracyę naszej chorej pani?
— Nie moje dziecko!... przepiszę kuracyę, ale... panu!...



Służący: (do siebie): Istotnie przyjaciółka mego pana ma bardzo *małą nóżkę!* Dlatego też żyje na *wielkiej stopie!*



Osobliwa gimnastyka.

Trzy Siostry Mortisson, które nogami przewracają panom w głowie.



Na turfie:

— Miłość, łaskawa pani, to jak tor wyścigowy, a kobieta jak koń. Zanim przyjdzie do mety, to nieraz dżokeja dyabli wezmą!



— Czy wiesz Ello, że hr. Alfreda nieszczęście spotkało: Żona mu uciekła z jego własnym dżokejem, wobec czego nieszczęśliwy człowiek.....

— Życie sobie odebrał?...

— To nie, ale na najbliższych wyścigach sam będzie jeździł!



— Proszę wielmożnej panienki, przyszedł pan Adolf, usiadł na kanapie i zasnął.... Co zrobić, gdy przyjdzie pan radca?

— Poprosisz go do łóżka!



— Powiedz mi żoneczko!... Jesteśmy już rok pobrani!... Czy od dnia ślubu nie zdradziłaś mnie jeszcze?

— Daruj mój kochany, ale nigdy nie miałam głowy do dat historycznych!



— Za twoje zdrowie baronie! Kiedy żona wraca?

— Gdy jej lekarz pozwoli!.... A bądź spokojna, on jest moim przyjacielem i już pisałem do niego!...

Ferdek Eleuteryk.



Stary Edison, ten sam, który przed laty wynaloz maszynkę kolbuszoską, za co był amerykański order „Stanon w potrzebie“ dostający, wymyślił teroz znowu taką maszynę, bez którą bedzie możno pogwarzyć se z dnchami bez pomocy medyjum, które zwykle było ga dające, co mu ślina na język przyniesła i o czem sie duchom ani śniło. Otóż te duchy, zgniewane temi bzdurami, jakie o nich rozpisowały gazety w ogólności, *Kuryjerek* w szczególności, dalij do Edisona z prośbami, aby ułatwił komunikacyję tamtygo świata z tym, choć to nie do nigo. ino do pana Wolnygo jest należące.

Ale Edison dobry chłop, serce mo miękkie niczym z przeproszyniem... pantofel, gdy mu duchy przemówiły na ambit, wzion sie zaroz do roboty i gotową już maszyne do siekanio minsa (nima minsa, to sie i bez maszyny obeńdzie!...) przemienił na aparat do godanio z duchami. Jest to, jak gadają i grypsają ci, którzy tego nie widzieli, epokowy wynalazek, który do góry nogami bedzie stosunki z tamtym światem wywracający. Na wiadomość o nim urządzono w niebie wielgi strejk demonstracyjny i protestujący i skróś tygo mieliśmy takie zimno na początku listopada. Nimioł kto opalać słońca.

Bo trza być wiedzącym, że takich „godających“ duchów jest mało, a znaczna większość chciałaby mieć naprowdę wieczny spoczynek i skróś tygo zastrejkowała.

Cała nadzieja w tem, że to była zwykła hamerykańsko kaczka, którą puściły republikanie, aby dymokratom przy wyborach zaszkodzić, jako że oni nie tylko w Krakowie, ale i w Hameryce są z nieczystemi siłami konszachty i różne siuchty robiące, a jak bedzie tako maszyna, to sie zaroz pokoże, co w trawie... pochnie!...

Warto, swoją ulicą, byłoby sprawić se taką maszyne i dowiedzieć sie od duchów, bo one pono są wszystkowidzące, kiedy bedzie se można roz przecie za tanie hopy porządnie kantyne wyfutrować, abo, który lumer premiówki bedzie milion wygrywający.

Skróś aprowizacyji pod psem byłem w poprzednim numerze grypsający, że każdy chodzi, jak ów lew ryczący, ale kiedyś, gdy przechodziłem Macem Platejki zaczeno mi sie roić po makówie, że my to właśnie udajemy teroz wszyscy Władysława Jagiełłę, który wyloz aż na pomnik, a potem jeszcze i na kobyłę, aby ujźryć, co jest w „Rondlu“, ale jakoś nimoże być dostrzegający.

Takim Jagiełłą jest każdy z nos (z wyjątkiem paskarzów, wozignojków, golibyków, męcybułów itd.) zaglądający w rondel lub gornek, poto cheba, aby zawołać z prorokiem: „Próżność próżności!..“

Gdyby sie jednak miało glika i udało sie chwycić milion, to prosze siadać na gorącą blachę!... Byłoby i czem zafajczyć w piecu i co w gorczek wsadzić. Kto mo szczyńście, ten powinien być wygrywający, choć akcyji nie kupi.

Ale z tym to bedzie tak, jak z tą książką, którą nagrypsoł przed wojną jeden profesor, w jaki sposób, będąc dziadem, dorobić sie milijonów. On książkę nagrypsoł i milijona nimo, ja ją byłem czytający i tyż go nimem, a milijony byli tymczasem robiący inni, choć tych rad nie czytali...

I teroz ktoś co tydzień w sobotę wygro, to pewne, ale niechybnie taki, który tygo nie jest potrzebujący, a bidę klepiący mindzynaród bedzie w dalszym ciągu ino przy nadziei będący i w rondel zaglądający, aby sie przekonać, że tam z przeproszyniem... gu.....zik!

I to sie mo być sprawiedliwą sprawiedliwością w chłopskiej Polsce nazywającem!...

Hańba!...

To ci była heca!

— To ci bracie była heca!
Że aż dotąd czuję dreszcze,
Et! powiadam ci mój brachu,
Nie widziałaś takiej jeszcze!

— No, z kimże znów tak się biłeś?
— Ano z Staszkiem! W strasznej złości
Byłbym kości mu połamał!
— Jak to było?... Okropności!...

— Jak? Ot niby byłem wściekły,
Rzucam ci się jak kogucik,
Ja do niego, a on do mnie,
Więc ja w nogi, a on uciki

Ogłoszenie na czasie.

Młody i silny mężczyzna poszukuje w celach matrymonialnych znajomości młodej wdowy lub panny, mającej już pewne doświadczenie. Łaskawe zgłoszenia pod: „Z figurami“ poste-restante, Kraków, Główna poczta.

Wygadała się niepotrzebnie.

W towarzystwie rozmawiano o stosunkach przedwojennych, o nadmiernem rozradzaniu się Niemców i o powściągliwości pod tym względem Francuzów, którzy sobie powiedzieli, że dwoje dzieci dla małżeństwa to dosyć.

— I ja jestem tego samego zdania, co Francuzi — przerwała — i dlatego przy drugiem dziecku powiedziałam sobie *pas!...*

Z wykładu.

— Dotąd, moi panowie, nie jest stwierdzonem, czy Karpaty nazywają się tak dlatego, że tamtejsza ludność pijała chętnie „Karpatówkę“, czy też nazwa „Karpaty“ istniała dzisiaj, a ten rodzaj wódki od nich otrzymał swe miano...

Widocznie nie zrozumiał.

Przed sądem pokoju odbywała się w Warszawie, jeszcze za rosyjskich czasów, rozprawa. Skarżącym był właściciel domu, oskarżoną lokatorka, powód sporu: niezapłacenie czynszu.

Oskarżona tłomaczyła się, że kilkakrotnie prosiła gospodarza o przeprowadzenie w jej mieszkaniu poprawek, bez których obejść jej trudno, gospodarz na jej prośby odpowiadał stale milczeniem. Wobec tego wezwała murarza, kazała zrobić co potrzeba, a jego honorarym zapłaciła z czynszu. Że przeróbki były powodem, powołuje na świadka stróża domu.

Chłopisko, nie umiejący ani słowa po rosyjsku, staje przed sędzią, który pyta ostro:
— *A cztoż?... Pieredielki*) tam buły?*

Zagadnięty podrapał się frasobliwie w głowę, spojrzał na lokatorkę, potem na sędziego, wreszcie rzekł:

— Musi były!... Do panny ciągiem jakieś obce facety przychodziły, a nawet na noc zostawały... Ale jo na swoje oczy nic takiego nie byłem uważający...

*) Pieredielki: przeróbki



Nie udało się!

Profesor wykładał swym słuchaczom o obłędzie pijackim, zaznaczając, że charakterystyczną cechą tej słabości są złudzenia wzrokowe. Chory widzi stale koło siebie węże, szczury, myszy. Następnie kazał wprowadzić pacyenta.

Gdy go posadzono na krześle, rzekł profesor do audytoryum:

Oto macie panowie przed sobą typowy okaz tej słabości w jej pełnem przesileniu — a zwracając się do pacyenta, dodał. — No i cóż? Widzi pan tę mysz koło swej nogi... O!... Teraz poszła pod krzesło... A teraz jest znowu na środku sali...

Pacyent spojrzał na ziemię, potem na profesora, wreszcie rzekł z uśmiechem:

— Czy pan profesor nie cierpi przypadkiem na *delirium?...* Bo ja nic nie widzę!...

Kłopoty dyrektora policyi.

— I nad czemże pan dyrektor tak rozmyśla?

— Myślę nad tem, jak byłoby to dobrze, gdyby tak człowiek mógł być sierżantem przy policyi państwowej... Mój Boże!... Czy ja kiedy doczekam się takiej płacy?...

Ponad siły.

Dziedzic jedzie w pole, ale jedna z kobył, zaprzężonych do wózka, taka jakaś niespokojna, tak wierzga, że ani rusz się uspokoić...

— A co za dyabeł przyczepił się do tej bestyi?... — mówi dziedzic.

— A, bo ona się proszę łaski pana dziedzica *łatuje...* — Kuba na to.

— Tak?... Zliźno z wózka i połechtaj ją pod ogonem, to się uspokoi!...

Słysząc to Kuba, odwraca się do dziedzica i mówi:

— Dziękuję jaśnie panu dziedzicowi za służbę!... Nie dam rady!... To nad moje siły!... Jadę z panią dziedziczką, łechtaj, jadę z panienką, łechtaj... A teraz pan dziedzic każe jeszcze łechtać kobyłę... To za ciężko na jednego!...

Wytłómaczył.

Matka małego Srulka chorowała na przypadłości kiszkowe i bardzo często kupowała w aptece czopki, ból uśmierzające.

I dziś czuła się niedobrze, posłała więc Srulka do apteki, mówiąc:

— Sruleiu!... Idź do apteki i powiedz tak: „Panie aptekarz, proszę dać dla moje mame czopek!“

Posłuszny syn poszedł, powtarzając sobie po drodze swą przemowę, ale sobie widocznie pomylił, gdy bowiem przyszedł do apteki, wyrecytował:

— Panie czopek!... Proszę mi dać dla moje mame jeden aptekarz!...

— Co za aptekarz?... — pyta farmaceuta.

— Pan nie wie?... Taki aptekarz, co jak boli z tyłu, to się go tam wsadza!...

Zawsze jednaki.

Pan profesor przygotowywał się do wykładu o Spartanach, gdy do jego gabinetu weszła córka z mężem, aby się pożegnać z ojcem przed wyjazdem w podróż poślubną.

Profor uściskał oboje bardzo serdecznie, a mając głowę nabitą pożegnaniem matki Spartanki z synem, udającego się na wojnę, rzekł do zięcia z namaszczeniem:

— Wróć z żoną, albo na niej!... (Tak żegnała matka Spartanka syna, wręczając mu tarczę. Miał z nią wrócić, jako zwycięzca, lub na niej, jako bohater, który oddał życie za ojczyznę...).



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

I ktoby to powiedział, że ja tak sobie, jak mówił moj przyjaciel: świeć Panie nad jego duszą, Bismark, *mir nichts, dir nichts*, znajdę się nagle z Rygi w Ameryce. Ale trudno!... Obowiązki wzywają, a ponadto płacą mi dyety i kilometrowe. Tysiąc kilometrow lądem lub wodą, to dla mnie głupstwo. Nie mogę się tylko zdecydować na powietrze, choć, co ma wisieć, nie utonie, a co ma utonąć, to w powietrzu karku nie skręci.

W Rydze — jak to już w poprzednim liście doniosłem, miałem wpłynąć na przyspieszenie podpisania rozejmu. Że się dzielnie wywiązałem z danego mi przez Milleranda polecenia, chyba każdy przyzna. Jeszcze byłem daleko od Rygi, a konferencya, dowiedziawszy się o mem przybyciu, zgodziła się na warunki pokojowe, rozejmowe itp. Co to może zdziałać sama potęga nazwiska!... Ledwie się Joffe dowiedział, że lada dzień będzie w Rydze Klapa, spuścił z tonu.

Mamy zatem pokój, mamy i korytarz (wiodący do Gdanska), gdyby do tego była jeszcze kuchnia, a w tej kuchni piec, na nim garnek, a w garnku cos, co mogłoby grzesznemu ciału wyjsc na zdrowie (tak naprzykład zrazy z kaszą, wędzonką z kapustą lub inna bajka z „Tysiąca i jednej nocy"...) mieszkanie nasze nie pozostawiłoby nic do życzenia, z wyjątkiem sąsiadow, należących do hołoty ostatniego rzędu.

Z Joffem polubiliśmy się bardzo. W dowód sympatyi chciał mi sprzedać pióro, którem podpisał warunki rozejmowe. Powiedział, że pozbył ich już więcej niż dwa tuziny, warto zatem zakupić taki unikat dla krakowskiego Muzeum Narodowego. Byłbym to może i zrobił, ale nuż mnie potem zamianują dożywotnim kustoszem i każą ostatnie dni spędzić w przytułku?... Nie kupiłem, co Joffego nie zgniewało.

— Nie szkodzi!... — mówił. — Nie kupi pan, kupi inny. Choć panu byłbym taniej sprzedał i to najbardziej autentyczne!... Amerykanie to sobie poprostu wydzierają te pióra...

Dowiedziawszy się, że mam w tym roku zamiar odwiedzić Stokholm i Chrystyanę, wziął mnie pan Joffe poufale pod ramię, potem chwycił za guzik, wreszcie rzekł:

— Panie Klapa!... Ja wiem, że pan jest mądry człowiek, i że panu nie trzeba dać dwa razy pałką w łeb!... Pan jedzie do Szwecyi i Norwegii?

— Tak!... Po zapałki, bo o nie tak teraz trudno...

— Panie Klapa!... Ja panu coś powiem!... Pomów pan tam. Co ja wiem, że pan ma znajomosci, aby oni dali mnie tego roku pokojową nagrodę Nobla... Chyba nikt na nią bardziej nie zasłużył, jak ja, który tyle już zrobiłem interesów pokojowych... I co pan powie do tego?...

— Pogadam!... Pogadam!... — ja mu na to. — Zwróciłbym się nawet do samego Nobla, ale on już nie żyje...

— Pan go znał?...

— Naturalnie!...

— Jaka szkoda, że umarł i nie poczekał na pana!... Ale pan potrzebuje o mnie nie zapominać, choć z nim samym pan się nie może rozmowić... Jak dostanę nagrodę, będę się znał na rzeczy!... Pan łaskawy z pewnoscią nie pożałuje...

Ponieważ zawarto rozejm nie czekając na zimę, nie mając nic lepszego do roboty, spakowałem manatki i wybrałem się w dalszą drogę. Z pełnomocnictw, jakiemi mnie obdarzono, nie robiłem żadnego użytku. A były one bardzo daleko idące. Byłem upoważniony do ustępstw jeszcze większych, niż te, które porobił w Spaa pan Grabski. Pozwolo mi odstąpić z wolnej ręki Warszawę bolszewikom, Toruń Szwabom, Kraków Czechom, Lwów Turkom, byle tylko dali nam spokój. Powiedziano mi na drogę, abym gdyby i to nie wystarczyło, dodał jeszcze coś od siebie. Bez tego się obeszło dzięki Bogu, bo byłbym się znalazł w kłopocie, co dodać?... Chyba stary parasol, lub podarte kalosze!...

Że zatem z owych ustępstw użytku nie zrobiłem, to też moja zasługa, za ktorą niewątpliwie spotka mnie nagroda, jeżeli nie w tem życiu, to bodaj w przyszłem.

Z Rygi na bliższe drogi spieszyłem się do Aten, aby jeszcze przed smiercią powiedzieć coś królowi Aleksandrowi, którego pogryzła małpa, należąca, jak śledztwo wykazało, do bardzo niebezpiecznego stowarzyszenia anarchistów, mającego za herb zdechłego szczura, a pod nim napis: „Śmierć, śmierć... wszystkim cesarzom i królom". (Król kurkowy i Król z „Bagateli" niech się zatem mają na bacznosci, a w szczególnosci niechaj sobie żaden małpy nie kupi!... To nie bagatela!...)

Niestety, krola Aleksandra już przy życiu nie zastałem. Nie mógł się na mnie doczekać i umarł na kilka godzin przed mem przybyciem. Powiadają, że na pięc minut przed śmiercią był jeszcze zupełnie żywy i widocznie spodziewał się mojego przyjazdu, powtarzał bowiem co chwilę, naturalnie po grecku: „Klapa!... Klapa!..." i zaglądał nawet pod łóżko, jak gdyby chciał mnie tam znaleźć...

Poczciwy!... Nigdy mu tego nie zapomnę. Nie byłem nawet na jego pogrzebie, wychodzę bowiem z zasady, że się to nie opłaci, zwłaszcza, że żaden z nieboszczyków nie zrewanżuje mi się za oddanie tej „ostatniej posługi". Nie mogłem zresztą zwlekać, skoro wybory w Stanach Zjednoczonych rozpisane na 2 listopada, a z Aten do Waszyngtonu dalej, niż z Krakowa do Bronowic. Dałem Wilsonowi słowo, że będę, a u mnie, jak mówił bł. pam. Aron Gajer po powrocie z Ameryki *ein Wort, ein Mann*...

Wilsonowi obiecałem popierać kandydata demokratow, za co obiecywano mi posadę szefa sekcyi w Lidze Narodow, krakowscy republikanie (to jest ci, ktorzy paskują amerykańskim smalcem, mąką, mlekiem i t. d.) włożyli mi na serce, bym stanął po stronie Hardinga. Na wszelki wypadek wypożyczyłem sobie nawet cudowną urnę wyborczą z prezydyum krakowskiego magistratu.

Ale obeszło się bez niej!... Wypadł Harding, a czyja to zasługa?... Naturalnie moja, kto bowiem wie, co byłoby się stało, żebym był nie przyjechał. Spóźniłem się wprawdzie z powodu napadu morskiej choroby o całe dwa dni, to przecież na wynik wyborów zupełnie nie wpłynęło.

Opowiadają, że Cox dowiedziawszy się o wyniku wyborow, rzekł do stronników: „Klapa!"... co jest chyba dość jasnym dowodem, kto mu dał radę!

O tem już w następnym liście, gdyż spieszy mi się na „Fajf" do państwa Hardingów...

Zatem... pa!...

Klapa.

Nieporozumienie.

— Pasyami lubię sigi... Jadłbym je codzień, a tu jak na złość nigdzie ich dostać nie można...

— Nie radzę ci!... Sigi, to bardzo zdradliwa rzecz!... Gorzko na nie płacze panna Lola!.. Nie wyszły jej na zdrowie!

— Pewnie objadła się zanadto i zepsuła sobie żołądek!

— Hm!... Żeby to żołądek!... Siga pękła i stąd cały powód nieszczęscia!...

Brak uznania.

— Teraz trudno spotkać się z uznaniem — mówiła panna Pelagia — Penelopa czekała na męża dziesięć lat i wspomina o niej historya, a o mnie, która na niego czekam lat pięćdziesiąt siedm, nikt ani piśnie!...



Kalendarz chłopski.

Kiej ostatnią słomę
Już krowina zjadła,
Kiej brak zboża w śpichrzu,
A w komorze sadła,
Kiej się zazielenia
Jedlina i sosna,
To ja zaraz widzę,
Że to już je *wiosna*.

Kiej pieniędzy siła
Mabieram od Icka,
Kiej je grzeczny dziedzic,
Grzeczna i dziedzicka,
To ja przed plebanem
Gotów przysiądz na to,
Że nie co innego,
Tylko już je *lato*

Kiej od swojej baby,
Dostaję po karku,
Żem się spił jak bela,
Na miejskim jarmarku,
Kiej chłop rżnie wieprzaka
I jak pan zasiada,
Ja wiem, że to *jesień*
Niech co chce kto gada.

Kiej śnieg w oczy dmucha,
Wicher świszczy w uchu,
Kiej ćmię papierosa
I leżę na brzuchu,
Kiej je gorzelina,
Choć pieniędzy nima,
To ja widzę, że to
Napewno je *zima*!

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Kramłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Kaczmarskiego.



— Przepraszam pana ale muszę iść do domu!
— Tak? A do czyjego?